

NIESAMOWICIE ZMYŚŁOWA I TRZYMAJĄCA  
W NAPIĘCIU, AŻ BUZUJE OD OBSESJI.

„AFTONBLADET”

# SAT YRI CON

GERTRUD HELLBRAND

MARGINESY

*Satyricon*

COPYRIGHT © Gertrud Hellbrand, 2018

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Agata Teperek

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2020

1

Przyjęcie

Dom znajduje się na końcu jednej z licznych sörmlandzkich alei obsadzonych drzewami liściastymi. Na skrawku trawnika przed bramą zaparkowałam małego fiata pandę. Walizka nie jest szczególnie ciężka; niosę ją w ręce, idąc po żwirowej ścieżce. Żółty drewniany dom wygląda mniej więcej tak, jak go zapamiętałam. Na rabatach kwitnie kilka czerwonych róż, słońce odbija się od okien na piętrze, a ja czuję się dziwnie spragniona.

Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś zobaczę dom letniskowy rodzeństwa Bodinów. Jeśli ktoś by mnie o to spytał, pokręciłabym przecząco głową. Nigdy więcej tam nie pojedę. A mimo wszystko zrobiłam to: jak lunatyczka pognałam z pracy do mieszkania, wbiegłam po schodach, bo winda nadal była popsuta, spakowałam kilka ubrań i zbiegłam na dół. Wlokłam się zakorkowaną E4, jedząc kanapkę przy dźwiękach popołudniowej audycji w radiu. Zatrzymałam się w Kungens Kurvie, żeby zatankować, a potem ruszyłam dalej na południe. Wkrótce pokrywa chmur rozstąpiła się i słońce załało pozółkłe zagajniki, pastwiska i pola. Zbliżała się jesień.

Staralam się wmówić sobie, że w tym wyjeździe nie ma nic szczególnego. Będę świętować czterdzieste urodziny dawnej przyjaciółki. Długi weekend za miastem. Nic więcej.

– Halo?

Drzwi przeszklonej werandy nie są zamknięte na klucz, ale nikt nie odpowiada na moje wołania. Walizka uderza o stopień i przewraca się w progu. Chwytam ją ponownie i stawiam na wycieracze. Słyszę jakiś hałas i podnoszę wzrok. Tuż obok drzwi prowadzących w głąb domu stoi młody mężczyzna. Wygląda na kogoś z Bliskiego Wschodu.

– Dzień dobry – mówię. – Zastałam Renée?

Kręci głową. W jednej ręce trzyma pomidora, w drugiej nóż kuchenny. Kiwa w stronę wyjścia.

– Jest nad jeziorem?

Znów przytakuje. Potem odwraca się i wchodzi do środka.

Słońce oślepia, ale nie grzeje. Powietrze jest przejrzyste, a wysypana żwirem droga nad jezioro sucha. Bez walizki moje kroki stają się lżejsze, przeciągam się i odruchowo prostuję plecy. Jestem tutaj. Naprawdę wróciłam. Musiałam oszaleć.

Trochę dalej przede mną, po las mieszany na horyzoncie, rozciąga się woda. Pastwisko dla koni na sąsiedniej posiadłości opada aż do brzegu. Pasie się na nim kilka kłaczy ze źrebakami. Ktoś idzie drogą w moją stronę. Muszę przesłonić ręką oczy.

Minęły trzy lata, odkąd ostatni raz widziałam Renée. Schudła na twarzy, wysmukłała, ale dalej jest piękna w ten sam złowroźny sposób co kiedyś. Ma nieco poirytowany wyraz twarzy: jakby przeglądała mnie na wylot, kiedy stoję skonsternowana pośrodku drogi.

Pod pikowaną kamizelką ma golf, a na nogach kalosze. Zawsze zazdrościłam jej włosów. Kiedy Oliver chodził jeszcze w pieluchach, a ja postanowiłam zrobić coś, żeby poprawić sobie nastrój, przyszło mi do głowy, że mogę ufarbować włosy na taki jasny, miodoworudy odcień – u Renée naturalny. Nie miałyśmy wtedy ze sobą kontaktu, nie dostawałam od niej nawet życzeń na Boże Narodzenie. Mimo to, całkiem niespodziewanie, siedziałam na regulowanym fotelu i starałam się opisać kolor jej włosów. *Proszę sobie wyobrazić młodą Nicole Kidman. Taki rudawy miód. Żujący gumę fryzjer wzruszył ramionami. Trzeba będzie najpierw utlenić włosy, a potem ufarbować, wyjaśnił; dałam za wygraną i zamiast tego wybrałam delikatny kasztanowobrazowy odcień.*

Renée jest już koło mnie, czuję jej zapach. Obcy, a tak dobrze znany. Ujmuje mnie za ramiona. Nic nie mówi, tylko patrzy na mnie, uśmiechając się delikatnie. A później całuje mnie w usta.

Z zewnątrz dom wygląda jak kiedyś, ale w środku został wyremontowany; drewnianą podłogę w przedpokoju pomalowano w białą-szarą szachownicę. Koło stolika na telefon stoją dwa wiklinowe fotele przykryte owczymi skórami.

Renée wchodzi do kuchni pierwsza. Znów widzę tego młodego mężczyznę. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat. Stoi pochylony nad blatem, na którym leżą małe, rozwałkowane placki. Nie podnosząc wzroku, w pełnym skupieniu nakłada odrobinę mięsnego farszu na każdy kawałek ciasta. Na desce do krojenia widać mokre ślady po siekanych po-

midorach; w kuchni pachnie czosnkiem i kuminem. Została doposażona od mojej ostatniej wizyty.

– Musiałam sporo pozmieniać w tym domu – wyjaśnia Renée, jakby czytała w moich myślach. – Mieszkam tu teraz praktycznie na okrągło.

– A twoi rodzice?

– Przeprowadzili się do Nicei. Przyjeżdżają tylko latem na jakiś tydzień.

Nadal stoi tu stara drewniana ława z oparciem i te same dawne szafki kuchenne z szufladami i drzwiczkami.

– To Aram – ciągnie Renée, ale ten poważny młodzieniec nawet teraz nie patrzy na mnie. Wydaje się głęboko pochłonięty tym, co robią jego dłonie: sprawnymi ruchami palców zawija farsz w ciasto i dociska brzegi widelcem.

– Mogę w czymś pomóc? – pytam.

Renée kręci głową.

– Chodź, pójdziemy na górę.

Dostaję służbówkę na końcu korytarza z widokiem na jezioro. Renée kazała wyszorować drewnianą podłogę. Tapeta jest reprodukcją dawnego secesyjnego wzoru ze stylizowanymi wiązkami kwiatów. Wzdrygam się na widok żelaznego łóżka: mosiężne kule przy zagłówku, narzuta, czarne lśniąca nogi...

– Zostało tu przyniesione z dużej sypialni.

Słowa Renée potwierdzają to, czego się obawiałam. Uśmiecha się drwiąco, a ja czuję, że się rumienię. Muszę odwrócić się do okna. Po trawniku idzie Aram. Kieruje się ze szklarni w stronę werandy, ręce ma pełne czegoś, co wygląda jak świeżo zerwane zioła. Renée podchodzi i staje obok.

– Aram dokonuje cudów w szklarni. Jego ojciec był ogrodnikiem w dużej posiadłości koło Aleppo.

– Rozumie po szwedzku?

– U mnie uczy się więcej niż w ośrodku. – Renée śmieje się. – Jest pięknie położony po drugiej stronie jeziora. Ale wciąż są tam jakieś awantury, więc Aram trochę tu pomieszkuje.

Nie wiem, co powiedzieć, nie chcę sobie nawet wyobrażać, jakie zadania – poza gotowaniem i pracą w szklarni – ma tu Aram.

– Kiedy przyjadą pozostali goście?

– Jutro po południu – odpowiada Renée. – Mój brat też.

Posyła mi koci uśmiech, a ja znów się rumienię. Nic nie mogę na to poradzić. Jakby moje ciało nie chciało mnie do końca słuchać. Odkąd pamiętam, byłam podatna na wpływy innych.

Przez moment mający mi w głowie myśl, że to właśnie moje ciało przywiodło mnie z powrotem w to miejsce; a teraz mnie demaskuje, kiedy drwiący uśmiech Renée i jej znaczące spojrzenia przyprawiają mnie o dreszcze.

– Korzystaj z okazji i wypoczywaj. Chciałabym, żebyś jutro poznała kilka osób.

Na dworze szybko zapada tu zmierzch. Nie ma latarni, nie ma samochodów; tylko liście topoli słabo szeleszczą na wietrze. Wyciągam się na brzuchu sama w pokoju gościnnym, z twarzą wtuloną w złote hafty narzuty. Minęło piętnaście lat, odkąd byłam tutaj ostatnio; koniuszkiem palca wodzę po wzorze.



Pierwszy raz zobaczyłam Renée pewnego zimowego wieczoru przed klubem studenckim w Uppsali. Pamiętam, że pomyślałam wtedy, że jest arogancka. Właśnie wyszliśmy na podwórze – ja i dwóch chłopaków, z którymi chodziłam na filozofię. W przerwach na szczycie schodów spotykało się zazwyczaj te osoby z nowej grupy, które w ogóle warto było poznać. Może po prostu palacze mają w sobie małą domieszkę autoagresji, która sprawia, że stają się ludzcy. Tak właśnie poznałam Tony’ego i Jockego.

Renée też akurat paliła. Stała w mroku przed brzoskwińowym budynkiem, otoczona grupką młodych mężczyzn, i nasze spojrzenia się spotkały.

– Wchodzicie? – spytałam. – Równie dobrze możecie od razu zawrócić.

Nie odpowiedziawszy, przyjrzała mi się, a ja odniosłam wrażenie, że nie przepada za dziewczynami. Później dyskutowaliśmy na ten temat wielokrotnie – o tym, że obie wolimy przestawać z mężczyznami. Wtedy jednak, każda z nas ze swoją niewielką męską armią za plecami, zmierzyłyśmy się wzrokiem.

– To prawda – przyznał Tony. – Impreza jest dętwa.

Było tak zimno, że wydychany przez nas dym utrzymywał się wokół niczym chmura, śnieg na chodniku był twardy i nierówny, ale w końcu znaleźliśmy otwartą knajpę. Renée postarała się, żebyśmy siedziały naprzeciwko siebie. Studiowała literaturoznawstwo, właśnie pisała pracę dyplomową. Sceptycyzm, z którym początkowo mi się przyglądała, przeszedł w żywe zainteresowanie.

– Jaką najbardziej perwersyjną rzecz robiłaś?

Znałyśmy się może dwadzieścia minut. Obok rozmawiali nasi koledzy, a bar wypełniał przyciszony gwar. Okna od ulicy były pokryte parą, siedzieliśmy jak w kokonie z wilgotnego ciepła. Pokręciłam głową, a ona się zaśmiała.

– Okej, przeformułuję pytanie. Jaka była twoja najbardziej zakazana fantazja?

Pochyliła się i popatrzyła na mnie z miną, która była tak ponagląjąca, że też musiałam się roześmiać. Potem opowiedziała mi o swojej pracy. Pisała o – jak określiła to rzeczowo spokojnym głosem – animalistycznej radości staczania się. Ta radość miała znajdować wyraz w jednej ze scen powieści Émile’a Zoli *Praca*, w której młoda kobieta o wysokiej pozycji społecznej oddaje się robotnikowi w brudnej szopie. A także, rzecz jasna, w *Pannie Julii* Augusta Strindberga. Renée opisywała te destrukcyjne popędy jako „bunt osobowości”. Argumentację podpierała *Manifestem futurystycznego pożądania* Valentine de Saint-Point z tysiąc dziewięćset trzynastego roku, gdzie autorka twierdzi, że pożądanie szuka tego, co nieznanne, w cielesności, a intelekt szuka tego, co nieznanne, w duszy.

Renée udało się przekonać promotorów i wykładowców, że jej tezy są czymś w rodzaju feministycznego przewrotu; nowatorską dywersją, potwierdzeniem prawa kobiet do badania swoich nawet najmroczniejszych stron.

– Moje badania poruszają kompleksową problematykę związaną z płcią i klasą – zażartowała sama z siebie, a potem parsknęła ironicznym śmiechem i zapaliła papierosa.

Tamtego pierwszego wieczoru w barze, jeszcze zanim nasze palce i stopy zdążyły się ogrzać po wędrówce po skutych lodem ulicach Uppsali, Renée wyznała, że myślała o tym, żeby przespać się z budowlańcem. Usprawiedliwiająco wzruszyła ramionami:

– W celach badawczych.

Opowiedziała mi, jak każdego dnia w drodze do biblioteki mija plac budowy. Za barierkami, między rusztowaniami i betoniarkami, kręcą się mężczyźni w kombinezonach roboczych. Właśnie odnawiają fasadę; uśmiechają się do niej spod kasków, a ona zwykle przystaje i ucina sobie z nimi pogawędkę.

– Ich ręce są czerwone od zimna – wypaliła bliska egzaltacji. – I zastanawiam się, jak by to było przespać się z którymś z nich. Na zimnie, za tym grubym, półprzezroczystym plastikiem, którym okryli budynek.

Siedziałam oniemiała. Jasnorude włosy Renée były własnym światłem. Niepasująca do swojej epoki dwudziestopięciolatka – ubrana jak dojrzała kobieta, ale z rysami dziecka. Większość chłopaków w naszym wieku nawet nie odważyłaby się do niej zbliżyć. Czy naprawdę myślała o tym, żeby oddać się przypadkowo wybranemu robotnikowi? Nie sposób

było oprzeć się tej wizji, wiedziałam, że jak wieczorem wrócę do swojego studenckiego mieszkania, będę w samotności odmalowywać sobie tę scenę w myślach. Będę wyobrażać sobie Renée przyciśniętą do betonowej ściany za folią, zabawiającą się z co najmniej dwójką robotników, a ruch na ulicy będzie się toczył obok jak zwykle.

Zdawała się zadowolona, jakby przypuszczała, o czym rozmyślałam. Potem znów pochyliła się do mnie nad stołem z subtelnym, przemądrzałym uśmiechem na ustach.

– Musisz poznać mojego brata.

Tamta zimowa noc wydawała się jeszcze chłodniejsza, kiedy ruszyliśmy dalej. Drzewa iskrzyły się od tysięcy kryształków, ale my zdążyliśmy już odtając i teraz, kiedy szliśmy pijani z rumianymi policzkami, było nam przyjemnie ciepło. Renée powiedziała, że jest w połowie Francuzką.

– Moja mama pochodzi z Bretanii. Rufus bardziej ją przypomina. Ledwie można uwierzyć, że jesteśmy rodzeństwem.

Mieliśmy go znaleźć w jednym ze znanych nocnych klubów. Renée nalegała, że zapłaci za mój wstęp. Przeszliśmy obok szatni, nie zostawiając kurtek. Za barem znajdował się podłużny pokój z czerwonymi tapetami i obrazami na ścianach. W środku słychać było jedynie przytłumioną muzykę, a przy stolikach siedzieli ludzie i rozmawiali. Dosiedliśmy się do samotnego mężczyzny w głębi sali. Szczupłego faceta o drobnej lisiej twarzy.

– Charlie – powiedział i uniósł w naszą stronę kufel piwa. Renée niecierpliwie rozejrzała się wokoło.

- Gdzie Rufus?
- Zaraz przyjdzie.

Siedziałam na skraju obitego skajem krzesła. Byłam zwrócona plecami do wyjścia i rozmawiałam z pozostałymi, jej brata zauważyłam więc dopiero, kiedy stanął przy naszym stoliku. Natychmiast zrozumiałam, co miała na myśli. Podczas gdy Renée wdała się w swojego jasnowłosego szwedzkiego ojca, jej brat odziedziczył ciemną karnację po matce. Rufus Bodin emanował chłodnym, ponadczasowym pięknem, które niepokoiło tych, którzy na niego patrzyli. Przypominał rzymskiego sukcesora; stał w czarnym płaszczu jak młody despota i Renée patrzyła na niego z zachwytem.

- Usiądź – powiedziała. – Jest tu ktoś, kogo musisz poznać.

Kiedy położyła rękę na moim ramieniu, dotarło do mnie, że to ja mam być niespodzianką tego wieczoru. Jakby właśnie ofiarowywała bratu wytworny podarek.

- Rufus, to jest Olivia.

Jego badawczy wzrok po raz pierwszy się na mnie zatrzymał.

Czy obudził mnie jakiś hałas? Przez szpary między zasłonami wpada światło starej żeliwnej latarni; słaby blask igra na bukietach kwiatów na ścianie. Obudzić się w tym domu po piętnastu latach, to jak obudzić się z koszmaru – i uświadomić sobie, że to wcale nie jest sen. Ostrożnie wymykam się na korytarz i zakradam do toalety. Wodoodporną tapetę zmieniono, na podłodze i ścianach są nowe kafelki. Przeglądam się w lustrze i myślę o tym, że nikt nie wie, że tu jestem. I nikt nie ma pojęcia, co teraz robię. Mogłabym pozostać

w tym śnie, zostać pochłonięta przez ten dom, i nikt by się nie dowiedział, gdzie się podziałam.

Potrząsam głową. Biorę się w garść.

Przed drzwiami swojego pokoju odwracam się – kawałek dalej na korytarzu skrzypi podłoga. To Aram? Z potarganymi włosami i okręcony w pasie jedynie poszewką, zamyka ostrożnie drzwi do pokoju Renée, a później na palcach idzie do toalety. Nie widział mnie. Pospiesznie wchodzę do środka i wpęlam pod jeszcze ciepłą puchową koldrę.

Kiedy schodzę na dół do kuchni, Renée jest już po śniadaniu. Sieka na blacie cebulę i intensywnie pachnącą szalwią. Dookoła niej stoi mnóstwo misek i półmisek na wieczorny szwedzki stół.

– Zostawiłam jedzenie na wierzchu. Bierz, co chcesz.

Za oknem świeci słońce. Liście osik rosnących na granicy działki błyszczą się jak złoto. Właśnie skończyłam kanapkę, kiedy dostaję esemesa. Od Olivera. Przysłał mi zdjęcie: stoi na tle morza, szeroko rozstawia nogi z płetwami i trzyma dużego dmuchanego delfina. Cała twarz mu się śmieje. *Są tu ogromne rafy koralowe. Tęsknię za tobą, mamo.*

Natychmiast odpisuję. Uśmiecham się pod nosem i Renée zwraca na to uwagę.

– Benjamin nie do końca wydawał mi się w twoim typie – mówi. – Od jak dawna jesteście w separacji?

Renée spotkała Benjaminą tylko raz, trzy lata temu, na imprezie z okazji promocji swojej książki. Kiedy teraz wkłada dłonie do miski z farszem, dodaje szalwią i cebulę i za-

czyna formować małe kotlety, dociera do mnie aromatyczny, ostrawy zapach jagnięciny.

– Nie mieszkamy już razem od pół roku.

Benjamin nie dowiedział się ode mnie zbyt wiele o rodzeństwie Bodinów. Słyszał, że miałam w życiu burzliwy okres. Ale nic więcej nie chciałam powiedzieć. Był moją szansą, żeby zostawić przeszłość za sobą. Miał zupełnie inną osobowość: był przede wszystkim pragmatyczny i racjonalny, może nawet trochę nudny.

Ale tego właśnie było mi trzeba. W tamtym czasie wciąż się zdarzało, że budziłam się nocami, gwałtownie oddychając, jakbym zaraz miała runąć na łeb na szyję w wilgotną, pachnącą lasem otchłań ciemności. Przez sen zdierałam z siebie kołdrę, tak jakby ktoś próbował mnie przywiązać do łóżka. Ale Benjamin o nic nie pytał, kładł tylko swoją ciepłą dłoń na moich plecach i trzymał ją tam, aż znów zasnęłam.

W końcu niepokój zniknął. Nasza egzystencja złapała drugi oddech. W kolejnych latach koncentrowaliśmy się wyłącznie na pracy, a w wolnym czasie uprawialiśmy sport, gotowaliśmy i spotykaliśmy się z przyjaciółmi. Nasze życie było racjonalne.

Rodzeństwo Bodinów prawdopodobnie zniknęłoby z naszej wspólnej pamięci, gdyby nie ta nieszczęsna fotografia. Kiedy zaszłam w ciążę, Benjamin załatwił nam zamianę mieszkania. Potrzebowaliśmy czegoś większego. Wszystko zostało zapakowane do pudeł. Nigdy nie grzebałby w moich rzeczach, naprawdę trudno mi sobie coś takiego wyobrazić, ale sterty starych prac z filozofii leżały na wierzchu; właśnie




miał je sprzątnąć, gdy coś wyleciało ze stosu. Kiedy wróciłam do domu ze spaceru, siedział przy stole, a przed nim leżało to zdjęcie. Natychmiast ogarnęło mnie palące odrętwienie.

Było czarno-białe i przedstawiało mnie leżącą na boku. Z lekko rozchylonymi ustami. Górną część twarzy zasłaniała mi przepaska na oczy. A biała bluzka, którą miałam na sobie, była starannie rozpięta, żeby wystawał mi spod niej biust: nabrzmiałe sutki pod naprężoną linką, którą był okręcony mój tułów i która krępowała mi z tyłu ręce.

Skończyło się to naszą pierwszą naprawdę poważną kłótnią. Pamiętam, że myślałam wtedy o płodzie. Miał zaledwie szesnaście tygodni, ale ja wyobrażałam sobie, że słyszy nasze podniesione głosy i że to wspomnienie utkwii w jego nierozwiniętym małym mózgu jak czarny cień.

Benjamin nie odpuszczał, dopóki nie przyznałam, że zdjęcie zrobił mi Rufus Bodin. Dał mi jasno do zrozumienia, co sądzi o moim byłym chłopaku. Jedyne, o czym mogłam wtedy myśleć, to to, jak zabawnie zabrzmiały te słowa. Nigdy nie uważałam Rufusa za swojego chłopaka, nawet wtedy, gdy pozwalałam mu robić ze sobą takie rzeczy, jakich nie mógł robić ze mną żaden inny mężczyzna, ani wcześniej, ani później.



Na pierwszym roku studiów Olivia poznaje ekscentryczne rodzeństwo – Renée i Rufusa. Proponują jej pewną grę, a ona, choć nie zna jej zasad, decyduje się im zaufać. Wchodzi w dekadenski krąg – Satyricon. Spotykają się w dużym, starym mieszkaniu, żeby pić i dyskutować o sztuce, literaturze i erotyce, a także eksperymentować z własną seksualnością. Zakochana w Rufusie Olivia odkrywa mroczne strony swojej osobowości, których istnienia się nie domyślała.

Piętnaście lat później, mając za sobą nieudane małżeństwo, Olivia powraca do domu letniskowego, w którym Satyricon spędzał ostatnie, dionizyjskie wakacje. Na przyjęciu zostaje skonfrontowana z dawnymi przyjaciółmi i Rufusem, w stosunku do którego wciąż nie potrafi być obojętna. Powracają wspomnienia o kłótniach i rozkoszy, a także o tragedii, do której doprowadziły studenckie zabawy.

U Hellbrand *Tajemna historia* spotyka się ze *Szkołą uwodzenia*. To mroczna powieść o przyjaźni, zazdrości i obsesji, a także o najgłębiej skrywanych popędach, odwiecznym pragnieniu miłości, wrażliwości i akceptacji.

w sprzedaży także



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 39,90 zł

